



MMUSICAL nie jest sztuką łatwą ani małą... Dowodzi tego nie tylko rosnąca popularność tego gatunku na całym świecie, ale przede wszystkim stale rosnący poziom artystyczny musicali i wzrastające wymagania publiczności. Dziś już nie wystarczy okraszyć dramatu czy komedii muzyką, aby powstał musical. Współczesna sztuka musicalu stawia raczej na oryginalne libretta, tylko w ogólnym zamyśle oparte na jakimś literackim pierwowzorze — najlepiej z „wielkiej” literatury. Tak jest choćby z głośnym dziś w świecie „Człowiekiem z La Manchy”, którego libretto oparto na „Don Kichocie” Cervantesa. Nawiasem mówiąc, wszystko wskazuje na to, że „Człowiek z La Manchy”

szymi. Ostatecznie Feridun Erol sam był asystentem Marka Piwowskiego przy „Rejsie” i powinien lepiej znać się na żartach.

Mamy też musical w Warszawie. Teatr „Komedia” wystąpił z premierą muzycznej wersji „Wieczoru Trzech Króli”. W tym wypadku sięgnięto do gotowej przeróbki zagranicznej, której dokonał Czech Zdenek Hlavka. Prawdę mówiąc, taka praktyka wydaje mi się nie najfortunniejsza. Abstrahując od wartości muzyki p. Hlavki — aczkolwiek wyraźnie słychać, jak wiele zawdzięcza „Wieczór Trzech Króli” aranżerom — z powodzeniem można było dokonać takiej przeróbki własnymi siłami. Niedawno w Szkole Teatralnej mogliśmy oglądać jako popis dyplomowy „Cwiczenia z Szekspira” z muzyką Macieja Małeckiego. Porównanie obu spektakli narzuca się samo: tu i tu śpiewany Szekspir. I to mimowolne porównanie, jak by nie patrzeć, wypada na korzyść Szkoły Teatralnej i na korzyść Małeckiego. Jest nawet płaszczyna do porównania bardzo konkretna: dwie piosenki z „Wieczoru” były także w „Cwiczeniach z Szekspira”. Sztuka to nie sport i nie o to chodzi.

MUSICAL

zrobi u nas taką samą karierę, jak na Zachodzie, bo już coraz więcej teatrów muzycznych zaczyna po niego sięgać. Przy okazji warto przestrzec przed zaniedbaniem podziału między „teatrem muzycznym” a tradycyjną operetką. Jeśli „Człowiek z La Manchy” nazwano musicaliem a nie operetką, to chyba nie bez tzw. kozery, a szkoda by zaprzepścić szansę, jaka kryje się w takim — ściśle przestrzegającym — rozdziale. Szansę — choć to brzmi jak paradoks — także dla tradycyjnej operetki.

Warto o tych sprawach pamiętać szczególnie teraz, kiedy znaki na niebie i ziemi wskazują, że dla musicalu wybiła u nas jakaś szczęśliwsza godzina. Może — oprócz „Człowieka z La Manchy” przywędrują do nas i inne głośne zagraniczne musicale, jak choćby słynny „Skrzypek na dachu”, zabawna i melancholijna opowieść z chagallowskiego świata, okraszona bardzo udanymi melodiami. Może też będzie powstawało coraz więcej rodzimych musicali.

Na razie zjechał do Warszawy z gościnnymi występami Teatr im. Jaracza z Łodzi, a ściślej mówiąc jego druga scena, nazwana — chyba od godziny rozpoczęcia przedstawienia — „Sceną 7.15”. Aktorzy łódzcy pokazywali w Warszawie właśnie musical, co więcej, musical oryginalny, którego libretto napisali Feridun Erol i Roman Gorzelski, zaś muzykę Piotr Hertel.

Ich dzieło nosi tytuł „Łeztern”. Jak sama nazwa wskazuje, rzecz dzieje się na Dzikim Zachodzie i stanowi — delikatną — parodię różnych westernowych wątków.

Wydaje się, że autorzy „Łezternu” przed zaczęciem pisania zaniedbali jednego. Mianowicie powinni byli udac się kilka razy to tu a tam różne westery, aby zweryfikować swoje aprioryczne przypuszczenia na temat tego gatunku. Parodia bowiem ułana może być tylko o tyle, o

że Małecki pobli Hlavkę na głowę, ale o to, że przyjmując gotową adaptację zagraniczną, zaprzepaszczono szansę stworzenia przedstawienia w pełni oryginalnego.

Ktokolwiek był parę razy w teatrze nie po to, aby zabić czas, przyjrawszy się z uwagą do woinemu przedstawieniu, bez trudu orzeknie, co na scenie jest dziełem reżysera, a co samych aktorów. W wypadku przedstawienia w „Komedii” to orzeczenie musi siłą rzeczy wypaść nie — byt pochlebnie dla reżysera, p. Aliny Obidniak. Jej pomysły na leżą raczej do rzędu ilustracyjnych, a wszystko co na scenie żywe, pochodzi albo od samych aktorów, albo od choreografa i autora układów szermierczych.

Nie jest najlepiej, jeśli aktorzy muszą „dawać z siebie wszystko” tylko po to, aby się „przebić przez kostium”. Do obowiązków reżysera należy bowiem takie zasugerowanie kostiumów scenografowi, aby były one adekwatne do koncepcji scenicznej. W wypadku „Wieczoru Trzech Króli” wygląda raczej na to, że Krzysztof Pankiewicz projektując dekoracje i kostiumy, nie wiedział zgoła, że chodzi o musical.

Toteż wszystko, co jest w tym spektaklu wesołe, dowcipne i żywe pochodzi od Williama Szekspira tudzież osób następujących: Agnieszki Fitkau-Perepeczko (uroda, wdzięk plus talent i muzykalność), Teresy Mikołajczuk (j.w.) Barbary Bargielowskiej (j. w. plus żywioł), oraz panów: Marka Perepeczki, którego potężna sylwetka górowała na scenie, a który okazał też niepoślednie umiejętności charakterystyczne, Włodzimierza Nowaka, który nadspodziewanie dobrze zaprezentował swój talent w komediowej roli, Tadeusza Cyglera i innych, na których wymienienie nie staje miejsca.

le zadne z kowencji parodiowanego gatunku nie zostaną przełamane i osmieszone. Z im większą powagą traktują twórcy swoje dzieło, tym większa zabawa widzowi. W wypadku „Łezternu” nasuwa się przypuszczenie, że w trakcie jego powstawania autorzy musieli być przednio. Niewiele jednak tego szampańskiego nastroju przeniknęło na scenę.

Oczywiście to jest bardzo zabawne, kiedy ktoś nazywa się „Mac O'wiec” albo „O'ko”. Ale jest to — rzekłbym — żart grubymi nićmi szuty. Powtórzony po raz drugi jest znacznie mniej śmieszny — po raz trzeci jego prostota staje się prostactwem. Podobnie jest na przykład z cechami narodowymi występujących postaci. Jak to bywało na Dzikim Zachodzie w pierwszych latach eksploracji, społeczność małego miasteczka składa się z ludzi różnych narodowości, którzy porzucili swoje „stare ojczyzny”. Więc jest tam były Francuz, były Niemiec (oczywiście czarny charakter, nazwiskiem Szwarc), nie zabrakło nawet orzybysza z Polski. Ale na tym się po prostu kończy. W całym „Łezternie” nie ma na ten temat żartu wykraczającego poza schemat dowcipu: „Spotkali się raz Amerykanin Rosjanin i Polak...”, albo równie wątpliwej jakości żarty językowe (zawsze niezawodnej!).

Z kolei muzyce trzeba zarzucić przede wszystkim brak oryginalności i zróżnicowania. Ostatecznie jak długo można słuchać melodii nawet — jak to się mówi — „wpadających w ucho”, ale na jedno kopyt? Wychodząc z musicalu powinno się nucić jakąś jedną przewodnią melodię. Wychodząc z „Łezternu” nuci się chyba jakiś konglomerat wszystkich melodii — tak są do siebie podobne. Zaskakująca jest także dziwna przeróbka ballady Burisa „Jęczmienne tany”, która jest w „Łezternie” wykonywana z innym (ale bardzo podobnym chociaż gorszym) tekstem i inną (choć również dziwnie znajomą) muzyką.

Musical — a chyba szczególnie musical „westernowy” — musi mieć bardzo sprawnych wykonawców. Nie o wszystkich aktorach łódzkiego „Łezternu” da się to powiedzieć. Najsprawniejszy był chyba Andrzej Herder jako Szwarc, a wielu zgoła było takich, którzy przewracali się o własne nogi.

Powie ktoś, że za bardzo wybrzydza. Ze oryginalny polski musical trzeba witać fanfarami i słowami zachęty. Otóż uważam, że przeciwnie. Nie można stosować w takich przypadkach żadnych taryf ulgowych, bo jeśli już mierzyć — to wysoko, **jeśli się ścigać — to z najlep-**

Musical nie jest sztuką łatwą. ani małą... Prawdę powiedziawszy nie zanosi się specjalnie na rychłe powstanie „polskiej szkoły musicalu”. Ojczyzna Chopina i Moniuszki będzie musiała trochę poczekać. Na razie jeszcze nawet na „Człowieka z La Manchy” i „Skrzypka na dachu”.

MACIEJ KARPIŃSKI